

Marek Graszewicz, Dominik Lewiński

(Uniwersytet Wrocławski)

Co to jest społeczeństwo sieciowe i dlaczego ono nie istnieje?

Społeczeństwo sieciowe, społeczeństwo informacyjne, społeczeństwo konsumpcyjne, społeczeństwo ryzyka, społeczeństwo refleksyjne, społeczeństwo postindustrialne, społeczeństwo ponowoczesne, społeczeństwo masowe, społeczeństwo wiedzy, społeczeństwo obywatelskie, społeczeństwo medialne itd. To niekończąca się lista „społeczeństw”, z którymi mamy ostatnio do czynienia w naukach społecznych. Zasadne wydaje się w związku z tym pytanie, w którym z nich żyjemy, czy też, być może, żyjemy we wszystkich naraz. Inwencja socjotwórcza uczonych zdaje się praktycznie niewyczerpana, szczególnie jeśli dodamy do tego jeszcze koncepcje „nowoplemion”, „nomadyzmu”, „społeczności wirtualnych”. Niekoniecznie jednak należy zakładać, że nadprodukcja naukowych konstruktów o tak poważnych teoretycznych pretensjach ma, prostolinijnie rzecz biorąc, jakieś oparcie w przemożnym pragnieniu oddania słabiej lub mocniej odczuwanych całościowych zmian w strukturze czy organizacji współczesnego społeczeństwa; że to istotne – niektórzy mówią nawet, że rewolucyjne – zmiany w obiekcie badań wymuszają na uczonych kroki tak radykalne, jak powoływanie do życia specjalnych nazw na określenie (zawsze) nowego typu społeczeństwa. Tak różnego od społeczeństwa, które zostawiło za sobą. Powołanie (czy nazwanie, jak zawsze motywują swoje postępowanie zwolennicy opisanych praktyk) nowego społeczeństwa jest gestem potężnym, przed którym zawahaliby się zapewne Parsons, Durkheim czy Weber i który, wydawałoby się, powinien być obudowany i usprawiedliwiony teorią społeczną. Tak jednak rzadko się dzieje. Przeważnie mamy do czynienia z wypreparowaniem jakiegoś aspektu społeczeństwa i następ-

nie podaniem owego aspektu jako czynnika konstytuującego społeczeństwo. Klinicznym przypadkiem jest rozsądny przecież koncept „społeczeństwa ryzyka” Ulricha Becka. Beck słusznie dostrzegł dynamikę parametru ryzyka i trafnie opisał jego najważniejsze postaci, lecz intronizacja ryzyka na określenie definiujące „istotę” współczesnego społeczeństwa jest, delikatnie rzecz ujmując, bardzo poważną przesadą. Tym bardziej, że koncept Becka nie był jakoś szczególnie dobrze teoretycznie uzasadniony. Najczęściej jest tak, iż wybiera się jeden z subsystemów społecznych, taki, który charakteryzuje się zwiększoną dynamiką i z racji owej dynamiki uznaje się ów subsystem za centralną część społeczeństwa, następnie redefiniuje się społeczeństwo jako zdominowane przez procesy zachodzące w wybranym subsystemie i nadaje się stosowną nazwę. Tak zapewne powstało określenie „społeczeństwo industrialne”, które ani kiedyś, ani teraz nie wnosi wiele do analizy społecznej, za to dobrze oddaje podzielane przez wielu przeświadczenie o nadrzędnej roli systemu gospodarki w społeczeństwie. Podobnie sprawa się ma z baudrillardowskim „społeczeństwem konsumpcyjnym”, które poświadcza prymat gospodarki, opisany z kolei nie z perspektywy obserwacyjnej, biorącej za przedmiot społeczeństwo (czyli procesowanie się komunikacji), ale z perspektywy środowiska społeczeństwa (czyli ludzi). Z kolei konstrukcje w rodzaju „społeczeństwa informacyjnego”, „społeczeństwa sieciowego”, „społeczeństwa medialnego” wreszcie – to nic innego i nic więcej niż konstatacja obserwacji rosnącej dynamiki systemu mediów masowych. Specyficzną odmianą socjotwórstwa jest też powoływanie się na pojedyncze fenomeny choćby i o charakterze bardziej procesualnym, jak (jedyne chyba dobrze teoretycznie uzasadnione) „społeczeństwo refleksyjne” Giddensa czy Baumanowska płynna nowoczesność, które uwydatniają kolejno: rolę systemów eksperckich i zmianę horyzontów temporalnych we współczesnym społeczeństwie. Jednak, tak jak i w wyżej opisanych przypadkach, wydzielanie pojedynczych fenomenów, dowartościowywanie subsystemów i późniejsze dostawianie ich jako przymiotnika do słowa „społeczeństwo” wiedzie do poważnych teoretycznych uproszczeń i empirycznych uroszczeń, o których jeszcze będzie mowa później. Już nie tylko dlatego, że społeczeństwo to złożony proces integracji subsystemów funkcyjnych, wyszukiwanie zaś prostych, jednoczynnikowych zaawidowców społeczeństwa, „centrów”, systemów nadrzędnych, cofa teorię społeczną w mroki pozytywizmu, ale przede wszystkim dlatego, że wymusza niejako teoretyczną nędzę, teoretyczny redukcjonizm, zadziwiającą od-

mianę brzytwy Ockhama. Nie da się bowiem zredukować społeczeństwa do mediów, gospodarki, płynności czy refleksyjności.

Ustanawianie prymatów pojedynczych fenomenów (subsystemów) utrudnia obserwację tego, czego nie widać, kiedy się przez pryzmat prymatu obserwuje. I jest niesłychanie łatwe. Cóż bowiem staje na przeszkodzie, aby ogłosić na przykład, że żyjemy w społeczeństwie edukacyjnym? Że proces osobniczego uczenia się jest dzisiaj – historycznie rzecz biorąc – najdłuższy w dziejach ludzkości i ciągle się wydłuża, aż zapewne będzie niedługo trwał całe życie człowieka (szkoła, szkolenia, kursy, doksztalcanie w miejscu pracy, uniwersytety trzeciego wieku itd.), że najważniejszym, rzutującym na gospodarkę i procesy społecznej inkluzji parametrem społecznym jest wykształcenie? I czy nie da się przymusić empirii do potwierdzenia takiej optyki, przedstawiając choćby korelacje między poziomem wykształcenia a zamożnością, produktywnością itp.? I czy nie da się tego samego zrobić z systemem prawa, który przecież całkiem zdrowo ekspanduje, i ogłosić społeczeństwo współczesne społeczeństwem prawniczym i „na dowód” opowiadać o roli prawa i prawników w USA, o prawnej hiperinflacji? Socjotwórstwo, o którym ciągle mowa, osiągnęło nawet specyficzny poziom samoreferencji; konstrukcje socjotwórcze kontaktują się głównie ze sobą nawzajem, bez kontroli empirii. Na przykład Tomasz Goban-Klas doszedł do konceptu „społeczeństwa medialnego” (czy nawet „cywilizacji medialnej”, jak głosi tytuł książki, z której czerpiemy opis) nie poprzez jakąś konfrontację z empirią, ale zestawiając dwa wcześniejsze koncepty: społeczeństwa informacyjnego Kenichiego Koyamy i społeczeństwa sieciowego Manuela Castellsa. I konkluduje następująco: „A jednak, tak jak termin »społeczeństwo informacyjne« zdaje się być zbyt szeroki, tak termin »społeczeństwo sieciowe«, choć zwraca uwagę na istotną transformację ludzkich relacji, jest zbyt wąski, aby za jego pomocą ująć całość współczesnych przemian w dziedzinie komunikacji”, po czym dochodzi do własnej, oryginalnej definicji społeczeństwa medialnego, która, jak rozumiemy, ma być pozbawiona wad swoich poprzedniczek: „Społeczeństwo medialne to zatem społeczeństwo, w którym dominującą formą kontaktów społecznych nie jest bezpośredniość, ale zapośredniczenie przez media” [Goban-Klas 2005]. I nie przeszkadza, że konstatacja zawarta w owej definicji jest, naszym zdaniem, tak empirycznie fałszywa, jak to tylko możliwe.

Paradoksalnie, nasze wyjaśnienie rozpanoszonego teoretycznego socjotwórstwa w jakimś sensie potwierdza po trosze diagnozę Gobana-Klasa,

ponieważ uznajemy je za efekt medializacji nauki. Chodzi bowiem, jak zauważa w podobnej sytuacji Niklas Luhmann [1996], o próbę powiedzenia czegoś nowego za wszelką cenę. A wymyślanie nowych społeczeństw jest, jak na standardy popularyzacji nauk społecznych, świetnym newsem. (Podobnie zresztą jak pokrewne mu wymyślanie pokoleń, pokolenia X, pokolenia JP II, yuppie itp.). Tu nie chodzi o zmianę społeczną, a o zmianę w dyskursie naukowym – bo nawet jeśli zmiany nie widać, to będziemy ją zaklinać.

Nowo wymyślane społeczeństwa mają ten medialny walor, że proponują wyjaśnienia jednoaspektowe (jednoprzyczynowe), a co za tym idzie – bardzo uproszczone (coś w rodzaju „genu odpowiadającego za coś” w biologii), nadające się do streszczeń, uogólnionych interpretacji, niezbędników inteligenta czy działów „społeczeństwo” w tygodnikach. I autorzy owych „społeczeństw x-yjnych, x-owych” mają zapewniony medialny poklask połączony z obfitą medialną obecnością (Beck, Bauman, Castells). Również same nauki społeczne nie są odporne na uroki medializacji, tzn. przejmują w pewnym stopniu reguły massmedialne i autorzy prostych, błyskotliwych, efektownych kilkudzaniowych syntez „teoretycznych” mają spore szanse na odnalezienie się w gronie często cytowanych autorytetów. Bo też „społeczeństwo x” jest znakomitym hasłem-wytrychem, zwalnającym nierzadko (i może właśnie dlatego popularnym) nie tylko z obowiązku drobiazgowego teoretyzowania, ale także zastępującym procedury empiryczne, jak w podanym przykładzie Gobana-Klasa. Po prostu czasem „do twarzy” jest uczonym z powoływaniem się na „społeczeństwo ryzyka”, kilka sezonów później „nosi się” już „społeczeństwo sieciowe”. Sprawa jednak jest poważna, konstrukty „społeczeństwa x-a” wraz z przyklepionymi do nich autorytetami służą uczonym do pomnażania symbolicznego kapitału oraz kumulacji zasobów socjalnych, co szczególnie widać w tzw. dyskursie nowomiedialnym, w którym to autorzy cytują wyłącznie siebie nawzajem. Wytworzono w nim żelazny zestaw egzotycznych autorytetów oraz wsobne hierarchie, zapewniając sobie specyficzne miejsca w polu naukowym.

Mogłoby się wydawać, że nasza podejrzliwość jest zbyt daleko posunięta; cóż jest zdrożnego w konstatowaniu kolejnych epok ewolucji (nawet jeśli używa się metafory rewolucji) społeczeństw, przecież to nic innego niż dobrze znany mechanizm wprowadzania historycznych spacji – tak społeczeństwo sieciowe przyszło po industrialnym, jak renesans po średniowieczu. Ale zauważmy, że semantyki dla spacji epok wymyśla się po epokach, nie zaś w ich trakcie, czy nawet u zarania, te zaś, które po-

wstają w trakcie, należą do innego porządku wiedzy o literaturze czy kulturze, mianowicie do krytyki literackiej czy krytyki sztuki. My bowiem prawie zawsze „wkraczamy” w społeczeństwo sieci, społeczeństwo informacyjne czy upłynniającą się ponowoczesność. Socjotwórczym gestem założycielskim towarzyszy – mniej lub bardziej rozbudowany – aspekt futurologiczny. Opisujemy, co się dzieje i co będzie działo się dalej, w miarę historycznego spełniania się założonych przez nas prawidłowości. Niektórzy już żyją w społeczeństwie informacyjnym, inni dopiero do niego dołączają, wchodzi w nie, ale procesu opanowywania świata przez społeczeństwo informacyjne nic nie powstrzyma. Owa futurologia pełni zapewne kilka funkcji. Przede wszystkim – znów – jest bardzo medialna. Odpowiedź na pytanie: „co z nami będzie?”, zawsze zadawane prorokom nowych społeczeństw, budzi ciekawość. I to nie dlatego chyba, że wszystkich nas pokąsał Hegel. To sposób, dzięki któremu intelektualiści otrzymują funkcjonalny ekwiwalent czytania czasopisma „Wróżka” bez wstydu. Bo każdy jako tako obznajomiony z systemowymi teoriami społecznymi wie, że „jak będzie”, nie wiemy i nie możemy wiedzieć. Ważniejszą chyba jednak funkcją przesączającą się futurologii jest funkcja obronna. Czyni ona bowiem koncepty „społeczeństwa x-a” niewywrotnymi. Niesprawiedliwie trochę poniewierany przez nas autor koncepcji społeczeństwa medialnego może przecież utrzymywać, że co prawda jego teoria zaniku interakcji *face-to-face* na korzyść interakcji mediatyzowanych nie jest jeszcze empirycznie dobrze potwierdzona, ale nie osłabia to w żadnym stopniu jej trafności, ponieważ dobrze potwierdzona wcześniej czy później będzie. Również zwolennik „społeczeństwa informacyjnego” nie zadrzy na widok badań Roberta Suttona, z których wynika, że procesy produkowania, kumulowania i dystrybucji wiedzy w organizacjach nie tylko nie zwiększają wydolności (*fitness*) organizacji, ale w ogóle wiedza słabo lub wcale nie przekłada się na działanie czy zmianę działania, a zarządzanie wiedzą nie jest żadnym nowatorskim panaceum; może on ze spokojem utrzymywać, że to przejściowe trudności. To przykłady wymyślone. Ale Manuel Castells w *Społeczeństwie sieci*, kiedy przytaczane przez niego dane empiryczne nie idą na razie po linii koncepcji, sugeruje, iż niedługo koncepcję potwierdzą [Castells 2008]. Nawiasem mówiąc, fakty, na które się powołuje, takie jak np. wzrost wydajności usieciewionych organizacji w ostatnich dekadach, daje się lepiej i z powodzeniem tłumaczyć procesami samoreferencyjnymi wewnątrz systemu gospodarki, przede wszystkim choćby zastąpieniem metafory mechaniczycznej, tay-

lorowskiej (od kilkudziesięciu lat zawiadującej organizowaniem organizacji) metaforą organiczną i wynikającą z niej koncepcją organizacji uczących się, metaforą mózgu jako metaforą organizacji itp.

Jeśli w końcu przechodzimy do sedna sprawy, czyli społeczeństwa sieci, to od razu powiedzmy, że konstrukt ten jest obarczony wszelkimi wymienionymi wcześniej grzechami i grzeszkami. *Społeczeństwo sieci* Castellsa to co prawda przeszło 500-stronicowa, najeżona tabelami cegła – lecz jej ubóstwo teoretyczne jest doprawdy przerażające, teoria mieści się bowiem zasadniczo w dwóch akapitach strony 31. Cała reszta to znane dywagacje na temat globalizacji i informacjonizmu, dwóch konstruktów, które Castells skleja w trzeci: społeczeństwo sieci. I jak by się od tego nie odżegnywał, jest on zwolennikiem prymatu subsystemu gospodarki i technologicznym deterministą. Pisze on m.in. tak: „społeczeństwo sieci to struktura społeczna oparta na sieciach. Jednak nie na każdym rodzaju sieci, ponieważ sieci społeczne były istotnym wymiarem życia społecznego od początków ludzkości. Sieci charakterystyczne dla współczesnej organizacji społecznej, to sieci informacyjne wspierane przez nowe technologie komunikacyjne”. Dziwne jest tu materii poplątanie. Z jednej strony, przywołuje sensowną teorię sieci społecznych, ale słusznie się zaraz od niej dystansuje, gdyż jest ona narzędziem wyjaśniania dowolnych społecznych formacji i jako taka nie ma ze „społeczeństwem sieci” wiele wspólnego. Dokłada więc do sieciowych relacji relacje o charakterze informacyjnym (i tu już łąduje całkiem w koncepcie „społeczeństwa informacyjnego”) oraz wynalazki techniczne, z milczącym założeniem, że zmiana technologiczna powiązana jest ze zmianą społeczną, i to na poziomie społecznej organizacji. Więc po pierwsze, nic tu w rzeczywistości nowego. Po drugie, konstrukcja „społeczeństwa informacyjnego” jest zupełnie pusta, informacja bowiem jest jedynie sposobem wprowadzania dyferencji i nie jest rzeczą, która „przechodzi z rąk do rąk” [Bateson 1973; Luhmann 1996]. Już lepiej pewnie byłoby mówić o społeczeństwie wiedzy – ale to też już było i nie wniosło wiele. Po trzecie i najważniejsze, „wspieranie” przez technologie komunikacyjne i same te technologie nie mogą przecież powodować zmian społecznych na poziomie organizacji społeczeństwa w społeczeństwo. Internet, telefonia komórkowa, łączność satelitarna i inne wynalazki nie są w ogóle mediami komunikacji, ale mediami rozpowszechniania, mogą co najwyżej intensyfikować komunikację przez czasową i przestrzenną ekstensję, ale społeczeństwo organizują media ko-

munikacji (prawda, miłość, pieniądz, wiara, władza) i symboliczne kody, czyli – sumując – semantyki. Podczas np. konferencji naukowych jesteśmy zorganizowani przez medium prawdy (czy jej funkcjonalne ekwiwalenty), ludzie chodzący do kościoła przez wiarę itd. A żadnych nowych więziotwórczych semantyk tzw. nowe media nie dostarczyły. Nie wprowadzają więc one zmiany społecznej, ta bowiem jest sprawą zmiany struktury i organizacji. W naszym przekonaniu wszystkie przeobrażenia społeczne, które rzeczywiście przecież możemy obserwować, to autoewolucje w subsystemach społeczeństwa funkcyjnego, a nowym medium, technologiom komunikacyjnym nic do tego, prócz czynienia ich szybszymi. Bo nie ma osobnego medium komunikacji dla mediów rozpowszechniania, a tylko kody: informacja/nieinformacja, opublikowane/nieopublikowane. Platformy komunikacji nie tworzą semantyk.

Niektórzy – i tych jest chyba więcej – chętnie posługują się konceptem społeczeństwa sieciowego trochę inaczej niż Castells (który kręci się głównie wokół globalizacji i informacjonizmu), umieszczają go mocno w kontekście Internetu, cyberprzestrzeni, wirtualnych społeczności. Ale ani społeczność sieciowa, ani tym bardziej społeczeństwo sieciowe nie są bytami, które teoria społeczna może poważnie rozważać.

Jak zakładają Marek Graszewicz i Dominik Lewiński [2009]:

Mówi się nieraz, że interaktywne formy internetowego komunikowania tworzą nowy typ społecznej więzi. Nietrudno jednakże zauważyć, iż większość z owych specyficznie internetowych komunikacji jest odprzęgnięta od swych macierzystych pól społecznych. Kiedy komunikujemy standardowo (nieinternetowo), w proces komunikacji zaangażowane są potencjały symboliczne aktorów, regulująca zasoby komunikacyjne pozycja zajmowana w polu, systemowe zależności/odpowiedzialności. W Internecie, choćby ze względu na możliwą anonimowość, komunikacje są tych systemowych odpowiedzialności jakoś pozbawione. Każdy może mówić każdemu właściwie co chce i jak chce. Komunikacja może ulec przerwaniu bez społecznych konsekwencji. Można nie komunikować, gdy – standardowo, w społecznych interakcjach, nie można nie komunikować. Internet jest miejscem społecznej nieodpowiedzialności. Dlatego też do twierdzeń o socjotwórczej roli komunikacji internetowych należy, naszym zdaniem, podchodzić ostrożnie. Dopiero wtedy, gdy internetowe więzi prowadzą do pozainternetowych spotkań, możemy mówić o socjalności.

Co więcej, kiedy próbujemy empirycznie (na studentach) ustalić reguły komunikowania w owych socjoidach, okazuje się zazwyczaj, że albo polegają one na poszukiwaniu informacji (i tu mamy do czynienia ze „zwykłymi mediami”), albo funkcjonowaniu w rozmaitych second-life’ach, różnorodnych internetowych odmianach kółek zainteresowań (np. „boardgamegeek”, „fotografia cyfrowa”, „ptaki” i tysiące innych), które to mają do siebie, że przynależą do subsystemu rozrywki, ten zaś wykazuje, obok sporej dynamiki, słabą społeczną relewancję. Systematycznie nie zauważają tego entuzjaści nowych mediów, przekonując nas, na przykład, że *second life* to alternatywna, współbieżna do rzeczywistej rzeczywistość, i z całą powagą analizując wybory polityczne tam się odbywające. Z powodu dobrego wychowania, jakie otrzymaliśmy, nie będziemy szczegółowo tych rewelacji opisywać. Zauważmy, że jedyną społeczną sankcją w społecznościach internetowych jest tzw. ban. A trwałość owych socjoidów jest niestabilna i najpewniej za jakiś czas second life’u już nie będzie. Przypomnijmy sobie choćby casus Wikipedii, społeczność Napstera itd. Nie mówiąc już o tym, że wystarczy przecież wyłączyć prąd. Uczestnicząc w społecznościach sieciowych, zawsze mogę powiedzieć: „pocałujcie mnie wszyscy w d...”, wyłączyć komputer i pójść z kolegami na piwo. I nic się nie stanie. Ale spróbujmy to powiedzieć właśnie tym kolegom, żonie i dzieciom, przełożonym i współpracownikom, sędziemu czy prokuratorowi w sądzie itp.

Mówiąc językiem, którego nie znosimy, powiemy: realne życie jest gdzie indziej. Albo dokładniej: społeczeństwo jest gdzie indziej, choć procesuje się także za pomocą nowych mediów. Moglibyśmy zapewne uczestniczyć w konferencji naukowej przez Internet i być może dla kogoś z tu obecnych nie sprawiałoby to większej różnicy; jednak tworzylibyśmy nadal społeczność naukową, a nie sieciową. Spróbujmy również wyobrazić sobie taką społeczność sieciową jak wirtualne przedszkole – jak mogą w nim budować się wśród dzieci kapitały społeczne i symboliczne, hierarchie, sankcje, koordynacje zachowań, obiad i leżakowanie?

Wspomniani entuzjaści społeczeństwa sieciowego czy cyberprzestrzeni nie zauważają także jednej ważnej rzeczy: oni „niejako podstawiają swoje doświadczenia w miejsce doświadczeń społeczeństwa. Swoje użycia Internetu mają za doświadczenia współdzielone ze społeczeństwem jako całością” [Graszewicz, Lewiński 2009]. Zapominają, że uczestnictwo (i obserwacja) w społecznościach internetowych jest społecznie regła-

mentowane, i to nie tylko przez bariery dostępu: „Zasoby czasu potrzebne do przeżywania immersyjnych przeżyć nie są bowiem w społeczeństwie równo podzielone i nie każdy może sobie na nie pozwolić [...] ludzie z grup, nazwijmy je, zajętych troskami dnia codziennego, mogą nie posiadać czasu i motywacji do przeżywania Internetu tak jak młodzież i uczeni” [Graszewicz, Lewiński 2009]. Bo właśnie młodzież i uczeni zajmują taką pozycję w społecznym polu, która sprawia, że łatwo są skłonni uwierzyć w koncepcje tak niedorzeczne jak społeczeństwo sieciowe.

Bibliografia

- Bateson Gregory. 1973. *Steps to an Ecology of Mind. Collected Essays in Anthropology, Psychiatry, Evolution and Epistemology*. New York: Paladin Books.
- Castells Manuel. 2008. *Siła tożsamości*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Goban-Klas Tomasz. 2005. *Cywilizacja medialna. Geneza, ewolucja, eksplozja*. Warszawa: Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne.
- Graszewicz Marek, Lewiński Dominik. 2009. *Wstęp do systemowej teorii Internetu*. W druku.
- Luhmann Niklas. 1996. *Die Realität der Massenmedien*. Opladen: Westdeutscher Verlag.